

Starożytne automaty — „roboty”. GENIALNA KACZKA Zabawki pomysłowych wynalazców

„Robot” choć w przeróżnych postaciach — jest stary, tak niemal stary, jak mądrzenie ludzkie o lenistwie. Legendarną moc czarodziej mądrych kapłani egipscy potrafili, dzięki sprytnym, choć prymitywnym chytom, przekazać swym bożkom, każąc im mówić, przy pomocy spadającej wody i otwierając drzwi, gdy słońce rozgrzewało wosk.

Jako niewinna i zgrabna zabawka wyłania się „robot” w starożytności. Spadające ciężarki i ściśnięte powietrze były wówczas jedynymi źródłami siły. Właściwy rozkwit przeżyły automaty dopiero wtedy, gdy w średniowieczu odkryto elastyczną siłę sprężyn i gdy nadeszły wielkie czasy zegarmistrzów. Wtedy to powstały kukułki, które wyskakiwały z zegarów, koguty piejące, co skrzydłami woliły, mioty i diabły, kiwające głowami, a wreszcie piękne, olbrzymie zegary, które wskazywały ruchy gwiazd i słońca, gdzie w południe wychodziła śliczna procesja świętych. To była druga epoka „robotów”.

Epokę trzecią zapoczątkowała właściwie... kaczka, zbudowana w r. 1738 przez słynnego francuskiego konstruktora automatów, Vaucansona. Ten ptak nie tylko zbierał ziarna z ziemi, ale nawet... oddawał je w przetwarzonym stanie. Był to ówczesny szczyt doskonałości technicznej i pierwszy krok robotów na drodze do upodobnienia się do stworzeń żywych.

W tym czasie bowiem właśnie zaczęto — pod wrażeniem owej „genialnej” kaczki „wychowywać” automaty do czynności duchowych, zaczęto już świadomie dążyć do sztucznego „człowieka, który miał przejąć naszą pracę. Von Kempelen zbudował flety, które potrafiły naśladować głos ludzki. A podobne do ludzi lalki Javez — Droza umiały nawet pisać i rysować.

Mechanizm tych, jak je wynalazca nazywał „android”, był nawet dość nieskomplikowany. Jakis drażek poruszał się po nierównej płaszczyźnie i powodował tym odpowiednio ślizganie się ołówka. Sam Kempelen zakończył swą „techniczną „karierę” iynną na cały świat aferą oszukiwacza z „graczem w szachy”, ubranym w tureckie szaty „automatem”, który cudownie opanował grę szachową i bil najlepszych graczy. Pobit on m. in. Napoleona który się nawet nie domyślił, że gra z ukrytym w „automacie”... karlem, a nie genialnym „robotem”.

Ale w gruncie rzeczy te wszystkie „androidy” i ich krewni byli tylko dużymi, dociępnie obmyślanymi zabawkami — i niczym więcej. Dziewiętnasty i dwudziesty wiek, wieki rzeczowości, nie mogły się oczywiście takimi głupstwami zadowolić. Myślały one o maszynach, prawdziwych maszynach, któreby pracę ludzką wykonywały, któreby istotnie pracowały, pracowały z pożytkiem dla człowieka.

Wówczas powstała myśl o „robotcie”. Starzy mechanicy ubierali swe lalki w stroje ludzkie. Nowi — oszołomieni romantyzmem stalowych gigantów — budowali je w kształtach niezgrabnych, nieforemnych a potężnych, przypominających jakieś straszne „golemy”, przerażające swą potęgą i siłą.

Cały arsenał nowoczesnej techniki stanął do dyspozycji robota, by stworzyć tę olbrzymią i bezsensowną zabawkę, którąby ludzkiem o ich wiecznym marzeniu o świetle bez pracy przypominała. „Robot” na wystawie radiowej w Londynie czytał gazetę poranną i dawał uprzejmą odpowiedź na pytanie: „która godzina”. To wszystko. Potrzebny do tego był nieskończenie skomplikowany mechanizm, kombinacja płyt, cewek, komórek fotoelektrycznych, obwodów elektrycznych.

Inny wynalazca angielski stworzył „sztucznego człowieka”, który siada, gdy mu kazaż odpowiada na kilka pytań i podaje rękę?

Przyznać więc trzeba, że są to na ogół niezbyt produkcyjne prace i właściwie wcale nam na tym nie zależy, by ktoś za nas podawał rękę znajomym, a tym bardziej...

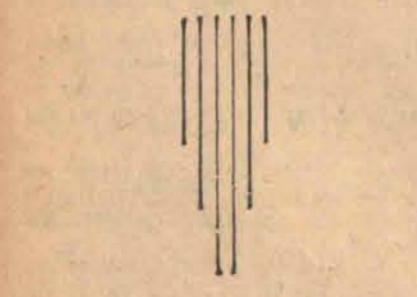
Wysoka stopa życiowa w Ameryce.

Jednym ze sposobów ustalenia amerykańskiej stopy życiowej jest określenie sumy wydanej na podróże i rozrywki. Amerykanie wydają sześć i pół miliarda dolarów rocznie na podróżowanie drogą powietrzną, kolejową i wodną. Rozrywki jak kina, teatry, kluby, radia i transmisje radiowe pochłaniają około dwa i cztery miliarda dolarów. Prawie miliard dolarów wydaje się na rozrywki, sporty i życie poza domem i na powietrzu.

Tyfus brzuszny jest chorobą brudnych rąk! Myjcie ręce przed każdym jedzeniem.

JACEK BRZEZINA

TOWARZYSZ numer STO TRZY



POWIEŚĆ 81

Wydawca: Jan Stypulkowski, doktor naczelny: Francis... obst.

siedział na krześle. Już bardziej pożyteczny jest robot amerykański, zwany „Oskar, krytyk muzyczny”. Jest to „człowiek” z wosku odznaczający się niezwykle wydelikacjonym słuchem do czego służy mu dwa wrażliwe mikrofony, wbudowane w miejsce uszu. Podobno ma on zadanie przysłuchiwania się próbom orkiestry filharmonicznej w Filadelfii, by ocenić, jak wychodzi dźwięk orkiestry w radio.

Ale właściwie wszystkie te aparaty — mądre i skomplikowane — to jednak niewiele więcej niż owe lalki, konstruowane przez zegarmistrzów z lat dawnych. Mimo swego imponującego wyglądu i pozornej potęgi potrafią śmieśnie niewiele i do niczego się przydać nie mogą. Są jedynie nowoczesnym, technicznym wyrazem naszego marzeń o dobrych czarodziejach i pilnyeli krasnoludkach — ale niczym poza tym.

„Roboty” prawdziwe „roboty”, pracujące na nas, żyją pracując wśród nas już od dawna. Jest nim odkurzacz elektryczny i silnik benzynowy, jest nim tartak i młot parowy, mechaniczny warsztat tkacki i maszyna do pisania i liczenia. Te „roboty” w swych tysiącznych rodzajach i odmianach istotnie wykonują za nas pracę i to pracę najcięższą i, chociaż nie zdejmują bark naszych „jarmuż przekleństwa”, które nas skazało na wieczną pracę — oszczędzają nam, jednak owego biblijnego „potu z czoła”.

Zbrojne ramię Polski na morzu



Działo morskie w porcie wojennym w Gdyni, oglądane z zainteresowaniem przez grupę oficerów, biorących udział w manewrach

Również Freddie nie należał do agentów Gooda. Z chęcią wzięłby go na swojego zastępcę, na miejsce opróżnione po śmierci Frathera, lecz tajemniczy tryb życia Downinga, odkrytego jakby nieprzeniknioną mgłą, wstrzymywał Gooda od czynienia wszelkiego rodzaju propozycji. Freddie ze swej strony, choć na pewno wiedział, kim jest Good, nie narzucał się ułatwiając w ten sposób sytuację. Odpowiedź z Londynu, tycząca się Downinga, była tak mętna i nie wyjaśniająca niczego, że Good wołał raczej nie ryzykować.

Joan powiedział po prostu, że uważa ją za swoją żonę, a nie sekretarkę, wobec czego zwalnia ją ze służbowych obowiązków. Gdy nie chciała się zgodzić, posadził ją na kolana i logicznie wytłumaczył, że powinna się szanować, nie przepracowywać, bo inaczej on nie będzie miał przy kim spędzać miłych chwil wypoczynku i lenistwa.

Wieczorami, szczególnie teraz, gdy pogoda się popsuła, stało się u nich parę osób. Przychodziła prawie codziennie Nikolaewa boczając się jeszcze na Gooda, lecz od wypadków kurdystańskich trzymająca się od niego z daleka — z respektem: przychodził wiecznie wesóły i opowiadający kawały Freddie, zjawiał się od czasu do czasu Borowski. Z nowych znajomych, na pierwszy plan wybijała się okrągła postać Szweda Johnsona, zawsze zadowolonego, wesółego i prawiącego paniom komplementy. Przychodził często na brydża konsul angielski, bywało parę osób z kolonii. Życie biegło naprzód, przy brydżu, whisky, anegdotach i normalnych codziennych kłopotach.

Najsympatyczniejsze jednak zawsze były wieczory sobotnie. Jakoś już tak się złożyło, że w tym dniu najwię-

112 ofiar brudnych banknotów. Kasjerom grozi niebezpieczeństwo.

Fakt, że znajdujące się w obiegu monety, a przede wszystkim banknoty, są roznosicielami bakterij chorobotwórczych skłonił centralę banku państwowego w Pradze do przeprowadzenia doświadczenia.

Dwa pakiety, z których jeden zawierał tysiąc nowych, a drugi tysiąc używanych banknotów jednakowego rodzaju, zostały zważone. Okazało się przy tym, że pakiet z używanymi banknotami jest o całe 70 gramów cięższy. Różnica wagi spowodowana została przede wszystkim przez zatuszczenie banknotów, które powstało

przy kursowaniu ich z rąk do rąk. Tuszcz i brud osadzony na banknotach jest nadzwyczaj sprzyjającą pożywką dla wszelkiego rodzaju bakterii, między którymi nie brak bardzo groźnych.

Jak niebezpiecznym jest stałe manipulowanie banknotami dowodzi, że w 1935 r. w Pradze pomiędzy urzędnikami poczty którzy zajmowali się prowadzeniem kas, 10.49 zachorowało na choroby zaraźliwe, przy czym poczta straciła 77.779 godzin ich pracy. Z pomiędzy chorych urzędników 112 zmarło, stając się ofiarami swych czynności urzędowych.

ROBACTWO W NOWYM GMACHU. Ucieczka lokatorów z drapacza chmur.

Miliony robaków zaatakowały wielki nowoczesny, gdyż dopiero w styczniu otwarty gmach w Bronx, (St. Zj.), posiadający 66 mieszkań kilkopakojowych. Robactwo to wypęzło nagle nie wiadomo skąd prawdopodobnie z drzewa, z którego gmach ten jest w środku zbudowany. Nawet znawcy nie mogą na razie osądzić, czy

to są tak zwane wszy drzewne, czy też inne toczące drzewo robaki. Rzuciło się to robactwo na budynek w takich masach, że oblepiło ściany wszystkich ubikacji, meble, — słowem wszystko, co w budynku się znajduje.

Dziewięć rodzin natychmiast wyprowadziło się z budynku, lecz inne nie mogły się przenieść bowiem nigdzie nie chciano im wynająć mieszkania w obawie, aby z sobą nie przyniosły robactwa.



SILNEJ FLOTY WOJENNEJ I KOLONIJ.

PODSŁUCHANE

W JADŁODAJNI.
— Kelner, w mojej zupie pływa mucha.
— To niemożliwe, proszę pana, muchy, nie potrafią wcale pływać.

HORIZONT.

Parowiec miał awarię. Pasażerowie już od paru godzin płyną w łódkach ratunkowych. Wszyscy są zdenerwowani. Co parę minut wydaje się komuś, że widzi ład. W pewnej chwili mr. Smith pyta jednego z marynarzy:

— Co tam widać daleko?
— Horyzont mr. Smith — odpowiada zapytany.
— No wkońcu coś! Więc prędzej przybijajmy!

KOBIETA UROK NASZEGO ŻYCIA.

W klubie, zaciągając się cygarami, dwaj starzy kawalerowie gawędzą. O czym? Łątwo zgadnąć, o kobietach.

— Zgodzisz się, mój drogi, że kobieta to urok naszego życia.
— Owszem, zgodzę się, byle po wyjściu z objęć nie spadały nam na kark.

cej mieli sobie ludzie do powiedzenia, najlepiej pracowały umysłu, najweselsiej wychodziły dowcipy.

W czasie jednego z takich wieczorów nawet Freddie Downing zdecydował się opowiedzieć swoją historię z derwiszem. Krztusił się, czerwienił, lecz wreszcie, przyściśnięty do muru, wyznał całą prawdę, ku ogólnej ucie-sze.

—Phi! — zawołał Good. — Teraz dopiero rozumiem, co miał oznaczać twój sławny derwisz, straszdyło nie pozwalające ci spać w Kurdystanie.

Joan spojrziała na męża błagalnie, nie chciała, by wspomniał owe straszne dla niej chwile. Zmieszał się i chciał zmienić temat rozmowy, lecz nie dał mu tego zrobić Johnson.

— Derwisz! Teraz to oni wyglądają trochę po ludzku, bo im szach zabronił noszenia dziwnych strojów, szpiczastych czapek z różnymi napisami, toporków i innych blażeństw. Ale w pierwszych latach po wojnie, gdy się tutaj osiedliłem, nie było z nimi żartów. Wypadków takich, jak pan miał, było bez liku. Wystarczy powiedzieć, że podczas deszczu, gdy taki derwisz zobaczył farenę na ulicy, awantura była gotowa. Kropla wody, spływająca z ubrania niewiernego cudzoziemca, mogła zanieczyścić rynsok obok płynący, w którym ludzie się myli, z którego brali wodę do picia lub zalałwiali inne osobiste potrzeby. Taki farenę mógł zanieczyścić całe miasto i biedni wyznawcy proroka umarliby z pragnienia. Tak, tak, proszę państwa, inne to były czasy, choć i dzisiaj może się jeszcze coś takiego zdarzyć....

— No, dobrze, jednak czym sobie pan tłumaczy różne takie przekleństwa? — spytała Joan.

(d. c. n.)

Odbito w drukarni Jana Stypulkowskiego w Łodzi, Zwirki 2.

Za redakcję odpowiada Roman Furmański.